

TAJEMNICE HEART'S EDGE

Bohater niedostępny



BESTSELLEROWA AUTORKA WALL STREET JOURNAL

NICOLE SNOW

 editored

Tytuł oryginału: No Perfect Hero (Heroes of Heart's Edge #1)

Tłumaczenie: Marta Czub

ISBN: 978-83-283-9155-0

Copyright © 2019. NO PERFECT HERO by Nicole Snow

Polish edition copyright © 2023 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/bonmh1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROZDZIAŁ 1.

JAZDA Z OPUSZCZONYM DACHEM (HALEY)



Nie ma to jak jazda wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża z opuszczonym dachem i letnim wiatrem we włosach, żeby dziewczyna znów mogła poczuć się jak człowiek.

Pewnie, trąci banałem.

Typowy dziewczyniński *road trip*, ja i moja siostrzenica w kabriolecie oraz koktajl truskawkowy co sto pięćdziesiąt kilometrów, skąpane w promieniach słonecznych, jakby sam Zeus posyłał nam całusy. Do bólu idealnie.

Można by niemal pomyśleć, że zupełnie nie uciekam od problemów, czmychając gdzie pieprz rośnie w *poszukiwaniu samej siebie* po potwornym zawodzie miłosnym.

Ale kiedy przyłapujesz narzeczonego w przebieralni ze swoją najlepszą przyjaciółką i druhną w jednym, a jej brzydka sukienka, za którą *sama zapłaciłaś*, jest zadarta do bioder, zaś jego niedopasowany smoking kłębi się wokół kostek...

Zasługujesz na prawo do banału.

Powiedziałabym nawet, że zasłużyłam na znacznie więcej.

Zwłaszcza kiedy w skrzynce odbiorczej znalazłam wypowiedzenie.

Restrukturyzacja. Tak ujęto zwolnienia w ogromnej, pozbawionej duszy megakorporacji, którą określałam mianem swojej pracy zarobkowej. Znalazłam się za drzwiami z zakłopotanym uściskiem i czymś w rodzaju wymamrotanych przeprosin od mojego zwierzchnika.

A potem — dopiero potem — wszystko kompletnie się posypało.

Moja dodatkowa robota — i prawdziwa pasja — poszła się walić, kiedy galeria, z którą współpracowałam, praktycznie wywaliła moje obrazy na śmietnik.

Nie sprzedają się, powiedzieli. Brak zainteresowania.

Równie dobrze mogli wpaść w szal na miarę Angeli Bassett.

Zabieraj swoje śmieci i się wynoś.

Więc zabrałam swoje śmieci.

Zapakowałam je na tył pożyczonego od siostry klasycznego kabrioletu — ładnego forda mustanga z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku w metalicznym kolorze nocnego nieba. Porwałam dziesięcioletnią córkę siostry, Tarę, bo i tak jest lepszą kompanką niż zadająca cios w plecy, kradnąca narzeczonych przyjaciółka.

I skoro tkwię już po pas w banale, żałuję, że nie wyjeżdżamy właśnie z Vegas.

Ale tak naprawdę wyjeżdżamy z Seattle, żebyśmy mogła zacząć nowe życie w Chicago. Na miesiąc czy dwa zadekujemy się w wolnym pokoju u mojej koleżanki z czasów studiów, Julie, dopóki nie znajdę pracy i nie będzie mnie stać na własne mieszkanie.

Kiedys pewnie oddam też dzieciaka.

Za kilka tygodni, gdy jej rodzice wrócą z Hawajów.

Odpowiedzialnością będę się martwić później.

W tej chwili na horyzoncie majaczą góry, wokół rosną wysokie drzewa, wiatr rozwiewa mi włosy, słońce grzeje w plecy, a ja mam wystarczającą urazę do świata, żeby przez jakiś czas nie mieć chęci do podejmowania żadnych poważnych decyzji.

Po dotarciu do Chicago i przejrzeniu miejscowych ofert pracy zastanowię się, co dalej robić. To duże miasto. Mnóstwo możliwości.

Do tego czasu mam zamiar cieszyć się jazdą. Szeroką drogą.

Słodką wolnością, za którą zapłaciłam z góry wściekłym uządleniem w samo serce.

Tara przysypia na miejscu dla pasażera, a ciemnobrązowe włosy chłozczą jej twarz. Jest dzieckiem słońca, drzemie w upale zwinęta w kłębek jak kot na rozgrzanym latem kamieniu.

Stacja radiowa przeskakuje, gdy zmieniamy strefy zasięgu. Tara porusza się na dźwięk radiowych trzasków, ziewając i trąc oko.

— Ciociu Hay? — mruczy.

Nie cierpię, kiedy tak mnie nazywa. Głównie dlatego, że wtedy czuję się staro, bo w pierwszym odruchu mam ochotę odpowiedzieć: „Hay znaczy siano, to jedzą konie, skarbie” — ale dwadzieścia pięć lat to zdecydowanie za mało, żeby rzucać takimi staropanieńskimi tekstami.

Jednak ona jest zbyt słodka, żeby się czepiać, więc zerkam na nią, odwracając na krótką chwilę wzrok od drogi, i posyłam jej uśmiech.

— Dzieńdoberek.

Mruga zaspana.

— Jest popołudnie... prawda?

— Najwyraźniej nie dla ciebie. — Sprawdzam GPS.

Właśnie przejechałyśmy przez Lolo National Forest i Missoulę po krótkim przystanku w Parku Narodowym Glacier, ze względu na Tarę. Dla widoków podjechałyśmy nad Whitefish. Następny przystanek wypada w Billings. Do Chicago zostanie nam potem może dzień lub dwa drogi, ale jeszcze nie pora na szukanie noclegu.

Mała dłoń Tary zasłania rozdziawione w ziewaniu usta.

— Jesteś głodna? Za jakąś godzinę będziemy mogły się chyba gdzieś zatrzymać.

Tara marszczy nos.

— Może. Ale muszę siusiu — skarży się, a ja tłumię parsknięcie.

Jest coś uroczego w bezwstydney dziecięcej szczerości.

A mnie odrobina szczerości znów przydałaby się w życiu.

Zerkam ponownie na GPS. Przed nami znajduje się miasteczko bez nazwy, po prostu mała kropka na mapie i oznaczenie zjazdu za jakieś pięć minut.

Powinni mieć tam przynajmniej stację benzynową — oby czystą — lub jakąś restaurację.

Mrużę oczy, wpatrując się przez przednią szybę w błyszczący w oddali zielony znak. Zmieniam pas na prawy, żeby móc wybrać zjazd prowadzący przez gęsto porośnięte drzewami zbocze.

Ale w tym samym momencie, w którym zjeżdżamy, ford zaczyna się krztusić.

Serce podchodzi mi do gardła.

O-o. To *nigdy* nie jest dobry znak.

Bestia jednak wciąż się toczy.

Udaje mi się zjechać na dół, gdzie droga zakręca w kierunku mającego w oddali miasteczka — malowniczego, przykurzonego i trochę zbyt w stylu Normana Rockwella. Niemal żywcem wyjętego z wszechobecnych w pokojach hotelowych obrazów autorstwa malarzy, o których człowiek nigdy nie słyszał, ale którzy pewnie zarobili krocie na sprzedaży reprodukcji na potrzeby wszystkich Motel 6, znajdujących się na każdym odcinku autostrady amerykańskiej.

Nie jestem jedynie pewna, czy uda nam się dotrzeć do tego rockwellowskiego miasteczka.

Nie w sytuacji, gdy mustang wciąż się krztusi i zwalnia, a kiedy z przekleństwem na ustach wciskam pedał gazu, otrzymuję w zamian tylko oburzone westchnienie Tary i szept: „Opłata za brzydkie słowo!”, a nie odrobinę więcej ikry.

Przynajmniej udaje nam się skręcić.

I udaje mi się przejechać jeszcze jakieś trzydzieści metrów, nim ostatnie ciche stęknienie, które wydobywa się z mustanga, posyła nas na pobocze niczym wielgachny jacht porwany przez prąd morski.

Tak właśnie się czuję, usiłując manewrować tym długim, zwalistym wozem, w którym gaśnie ostatnia iskra życia. Mam wrażenie, że to próba sterowania wielką, ciężką łodzią wbrew prądom morskim, tyle że łódź nie ma ochoty nigdzie się ruszyć, a jedynie pójść na dno.

Mustang wydobywa z siebie lekkie stęknienie, jakby się godził z sytuacją i mówił, że się poddaje.

Próbuję przekręcić kluczyk w stacyjce, ale silnik tylko rżęzi i trzeszczy, w ogóle nie zaskakując. Szlag by to trafił.

Szlaaag.

Siostra mnie zabije, jeśli zarżnęłam jej auto. To był prezent od męża na trzydzieste urodziny.

Należy do grona tych szczęściar, które znalazły troskliwego faceta. Zamiast *sypiać z jej najlepszą przyjaciółką*, John kupuje żonie prezenty zgodne z jej gustem.

Musiała upolować ostatni porządny egzemplarz. Bo przysięgam, że każdy gość poznany przeze mnie w ciągu ostatnich pięciu lat — w tym ten, którego zamierzałam poślubić — to gnojek.

No dobra. Uch.

Jestem zgorzkniała. Jestem wściekła. Wdech, wydech.

Życie toczy się dalej.

Właśnie to sobie powtarzam, codzienna mantra.

Z pewnością mój szwagier nie może być ostatnim przyzwoitym mężczyzną na Ziemi.

W tej chwili mam jednak poważniejsze zmartwienia.

Wbijam wzrok w pięści zaciśnięte na kierownicy.

— No cóż, mała — odzywam się. — Liczę, że nie masz nic przeciwko siusianiu przy drodze.

— A dlaczego nie mogę iść tam? — pyta. — Na pewno jest tam łazienka.

Wychyla się nad drzwiami od strony pasażera i patrzy w prawo. Podążam za jej spojrzeniem, mrużąc oczy w słońcu.

Nie zwróciłam uwagi, gdzie się zatrzymałyśmy, zbyt skoncentrowana na tym, żeby zmusić przeklęty wóz do dalszej jazdy.

Ale za polem znajduje się jakiegoś rodzaju... hotel? Zajazd?

Nie jestem pewna, co to jest, ale wygląda jak spełnienie wakacyjnych marzeń. W głębi widnieje wysoki, trzypiętrowy dom, z rzędem kolumn na froncie. Budynek otoczony jest zadbaną roślinnością. Ładne, dające cień drzewa rosną na przyciętym równo trawniku, idealnie posadzone wzdłuż wąskich, brukowanych ścieżek, ciągnących się między skupiskiem domków letniskowych — mieszanką bliźniaków i tych z rodzaju jednorodzinnych.

Wszystko to widnieje na tle odległych, jakby spowitych dymem gór, rozciągających się za stromym klifem. Atmosfera obrazów Rockwella się nasila, gdy dostrzegam szyld, który wisi na znajdującym się przed nami słupie.

Zajazd Uroczysko.

Ha.

Nazwa chyba pasuje, bo *rzeczywiście* jest tu uroczko.

Nawet jeśli mieszczuch mojego pokroju pasuje tutaj jak pięść do nosa, to mam nadzieję, że miejscowi okażą się przyjaźni. A przynajmniej na tyle gościnni, żeby dać dziecku skorzystać z toalety.

Nie mogę pozwolić, żeby Tara dłużej cierpiała. Zwiija się z dyskomfortu, zaciskając mocno uda, więc posyłam jej uśmiech i wysiadam z samochodu, a następnie zatrzaskuję drzwi i sięgam na tylne siedzenie po torbę podręczną i plecak.

— Chodź — mówię i podaję jej rękę. — Idziemy na spotkanie miejscowej ludności.

Popycham furtkę w staroświeckim białym płocie i szybkim krokiem idziemy centralną ścieżką do głównego budynku. To dom w stylu dawnych plantacji — naprawdę dziwny widok na Środkowym Zachodzie — który został dopasowany do potrzeb hotelu, na to przynajmniej wygląda.

Na jednym ze skrzydeł drzwi znajduje się plakietka z brązu oznajmiająca godziny, w których pracuje recepcja. Kiedy wchodzimy do wyłożonego wykładziną, urządzonego w wiktoriańskim stylu holu, nad drzwiami odzywa się mały dzwoneczek. Zza szerokiej, błyszczącej recepcji dochodzi ciche pochrapywanie.

A zaraz potem rozlega się huk, bo zmożony snem użytkownik odchylonego fotela podskakuje i zwala się na podłogę.

Tara wydaje głuchy okrzyk zaskoczenia, a potem piszczy i kwili, przeskakując z nogi na nogę, i coraz mocniej ściska moją rękę.

— Ciociu Hay...

Rozglądam się szybko dokoła, a potem na przeciwległej ścianie zauważam znak ze strzałką oraz drobnymi symbolami mężczyzny i kobiety.

— Tam, skarbie — pokazuję. — Na końcu korytarza. Idź.

Tara oddała się szybko krokiem kraba. Odprowadzam ją przez chwilę wzrokiem, a potem przechyliłam się nad recepcją i z wahaniem zaglądam za biurko.

— Em, dzień dobry? Proszę pana? Nic się panu nie stało?

Starszy mężczyzna o kaprawym spojrzeniu podnosi się z podłogi wyłożonej bordową wykładziną, podpierając się o przewrócony fotel uszak, a następnie ze stękiem ustawia go z powrotem prosto.

Jedną ręką mierzi swoje krótko przycięte, siwiejące włosy, a drugą wspiera się o fotel, przypatrując się mi tak, jakby nie był pewny, co o mnie sądzić, po czym wzdycha i posyła mi niepewny uśmiech.

— Nic mi nie jest. Żeby załatwić tę starą pikawę, trzeba czegoś więcej niż małego upadku. — Wali się w wąską, chudą pierś. — Mogę w czymś pomóc?

— Mam taką nadzieję. — Uśmiecham się szybko. — Moja siostrzenica musiała skorzystać z toalety, przepraszam. Ale mamy mały kłopot. Nasz samochód zepsuł się dokładnie przed waszym zajazdem i obawiam się, że utknęliśmy.

— No cóż...

Pociera swoją lekko zarośniętą brodę. Jak na tak chudego, wiotkiego mężczyznę ma bardzo obwisłą skórę, co sprawia wrażenie, jakby jego twarz się rozplęwała. Znam ten rodzaj fizjonomii i próbuję się nie skrzywić. Mężczyzna ostro popija, przez co szybko się starzeje.

Po tym, co stało się z tatą, nigdy nie zapomnę takich rysów twarzy...

Nie wiem, czy przez to starszy pan budzi we mnie większą łagodność, czy raczej większe zgorzknienie w stosunku do pierwszego mężczyzny, który nauczył mnie, że ludzie zawsze znajdują sposób na to, żeby się wyniszczyć, i zwykle nawet nie muszą specjalnie daleko szukać.

Tata chwycił się pierwszej nadarżającej się okazji do ucieczki, kiedy w życiu zrobiło się trudno — butelka za butelką.

W międzyczasie nieznamy znów się uśmiecha — rozbijając i niemal autoironicznie, jakby wiedział, jaki obraz sobą prezentuje i co ludzie o nim sądzą. Wzrusza ramionami.

— Mamy w mieście mechanika. I to dobrego. Jest późno i może uda się pani załatwić holowanie, ale nie naprawi pani wozu tak, żeby wyjechać przed zmierzchem. Wszystkie pokoje na krótki pobyt mamy zarezerwowane...

jednak została nam połowa bliźniaka w jednym z wakacyjnych domków na dłuższy pobyt. Na dodatek z widokiem na góry.

Marszczę czoło. Choć brzmi przyjemnie, wiem, że wiąże się to z kosztami.

Mam ograniczony budżet, bo zasadniczo porzuciłam większość tego, co posiadam, i wyjechałam z ostatnią wypłatą w rękę plus z tym, co udało mi się sprzedać po ślubie, do którego nigdy nie doszło, a który pochłonął wszystkie moje oszczędności.

Poza tym będę musiała zapłacić za naprawę samochodu. Obracam w głowie liczbami, lecz rachunki nie wyglądają dobrze.

— Nie wiem, czy mnie na to stać.

— Zostało nam tylko to, a jesteśmy jedynym hotelem w mieście. — Recepcjonista krzyżuje ręce na ladzie i nachyla się w moją stronę. Wyczuwam słabą woń rumu, ale nie na tyle silną, żeby mnie odstręczała. — Niech pani posłucha. Nie pozwolę damie w opałach i małej dziewczynce spać w diabelskim samochodzie w obcym mieście. Dam pani zniżkę. Policzę pani jak za pokój jednoosobowy. Co pani na to?

Zaciskam usta.

— Proszę podać cenę.

— Sześćdziesiąt pięć za noc. Co pani na to?

Gwiżdżę cicho. Naprawdę całkiem nieźle.

W Seattle za sześćdziesiąt pięć dolarów nie dałoby się nawet dostać pokoju w najtańszym motelu z anonimowymi reprodukcjami. Raczej w jednym z tych miejsc, gdzie ludzie płacą czynsz za tydzień z góry, a policja co wieczór zajeżdża na parking. Ale coś takiego — połowa bliźniaka?

No. Można powiedzieć, że się nam poszczęściło, jeśli chodzi o miejsce na awarię samochodu.

Wyglądam przez okno, udając, że jeszcze się zastanawiam.

Co mam do stracenia?

Okolica jest ładna, atmosfera przyjemna, mieszkanie tanie... a mnie przyda się odrobina wytchnienia w cichym, relaksującym miejscu, żeby otrząsnąć się ze zgorzknienia, zapomnieć o tym, co było, i żyć dalej.

Może to przeznaczenie?

Kiwam głową, wyobrażając sobie następny tydzień. Zostaniemy tu do czasu naprawy mustanga, a potem pojedziemy do Billings.

— W porządku. Sprzedane — mówię, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu portfela i karty kredytowej. — A tak na marginesie, to kto mieszka w drugiej części bliźniaka? Żeby nie przeszkadzała.

— Och, *on* — mówi to tak, jakby prychał. Niemal złowieszczo, ale zaraz zbywa własne słowa kręceniem głowy. — Niech się pani nie przejmuje. To raczej samotnik. Nieszkodliwy zrzęda. Pilnuje własnych spraw, bo tylko tym się zajmuje. Pewnie go nawet pani nie zobaczy.

Unoszę brew, ale przesuwam kartę kredytową przez terminal, wrzucając przy tym ramionami.

Każdy ma swój sposób na życie, nie mnie to oceniać. Ja też najchętniej wolałabym, żeby wszyscy dali mi święty spokój, za wyjątkiem zawsze przyjemnego towarzystwa mojej małoletniej pomagierki.

— Czy nie jest za późno na telefon do mechanika, żeby przynajmniej dostać wycenę naprawy? — pytam, patrząc, jak mężczyzna wpisuje moje dane na klawiaturze.

— Nie. Zadzwoń do niego w pani imieniu, a pani niech w tym czasie się urządzi. I tak potrzebuję pani numer telefonu do ewidencji.

— Dziękuję. — Szybko dyktuję mu ciąg cyfr, a także podaję adres.

Formalnie rzecz biorąc, chyba jestem teraz bezdomna. Nie traciłam czasu i wyniosłam się w cholerę, zrywając umowę najmu po niewiernym wyskoku Eddy'ego, ale podejrzewam, że stary adres w Seattle na ten moment wystarczy.

Podczas gdy mój ufny recepcjonista nuci pod nosem, odwracam się i rozglądam wokół siebie.

To miejsce ma w sobie jakąś miękkość. Wszędzie stoją wazoniki ze świeżo ściętymi, różowymi piwoniami, okna przesłaniają zwiewne, białe firanki, które zdają się lśnić dzięki wpadającym do środka promieniom słonecznym, a te z kolei spowijają wnętrza czymś w rodzaju cichego, przytłumionego blasku.

Jest miło. Chciałabym namalować ten wyjątkowy sposób wpadania światła, które robi się niemal mgliste, gdy kładzie się ukośnie na dywanie. Ktokolwiek jest właścicielem tego miejsca, ma dobry gust. Zerkam na recepcjonistę, podejrzewając, że to nie on.

Idealne wycucie czasu. Starszy mężczyzna kończy nas meldować, drukuje do podpisu pokwitowanie i kładzie na blacie klucz, a dokładnie w tym samym momencie Tara wychodzi z łazienki, poruszając się w ten swój afektowany, księżniczkowy sposób, który świadczy o tym, że dzięki ważącemu pół kilo mniej pęcherzowi odzyskała rezon, wielkie dzięki.

Rzucam jej szeroki uśmiech i odwracam się, żeby podziękować recepcjoniście, który w zamian za podpisany świstek przesuwam w moją stronę klucz wraz z kartą kredytową.

— Dziękuję — mówię. — Jak pan się nazywa?

— Flynn — odpowiada. — Flynn Bitters. Zawsze do usług.

— Dziękuję, panie Bitters — mówię i macham na pożegnanie. — Niech pan tylko poprosi mechanika, żeby do mnie oddzwonił. Bez pośpiechu, możemy pewnie zostać kilka dni.

Gdy wychodzimy na zewnątrz wprost na radosne, ciepłe, letnie popołudnie, Tara patrzy na mnie szeroko rozwartymi oczami.

— Zostajemy... tutaj?

— Tylko na krótko — odpowiadam. — Uznaj to za miniwakacje do czasu naprawy samochodu. Będziemy pławić się w słońcu, leżeć do góry brzuchem, podziwiać widoki i próbować lokalnych specjałów. To miejsce robi miłe wrażenie.

Marszczy nos.

— No nie wiem, ciciu. To maleńkie miasteczko... W Google'u nie było nawet nazwy.

— Była nazwa na znaku, który mijaliśmy. — Wskazuję i uśmiecham się szeroko. — Moja kochana podróżniczko na doczepkę, witaj w znamienitym mieście Heart's Edge.

NUMEROWANY BLIŹNIAK, w którym nas ulokowano, znajduje się z tyłu głównego budynku, niemal na samym skraju posesji.

Świetnie. Zapewni prywatność.

To jeden z większych domków, zbudowany z niewykończonego, ciemnego drewna, może cedru lub jodły. Wystarczy na niego spojrzeć, żeby

dostrzec nowoczesną prostotę i uroczą rustykalność: drewniane deskowanie, wijący się dokoła ganek i okna na całą wysokość ścian po bokach i z tyłu.

Ale tym, co nadaje prawdziwego charakteru temu miejscu, jest *widok*. Bliźniak wychodzi na długie zbcze zakończone klifem, z zachwycającym widokiem na dolinę rozpostartą u podnóża gór.

Serce skacze mi z radości, kiedy wreszcie jestem w stanie się zatrzymać, odetchnąć i chłonąć ten krajobraz.

Z tyłu jest nawet jacuzzi. Odkrywam je, gdy wędrujemy wokół małego ganku. Znajduje się dokładnie pośrodku, więc bez wątpienia mieszkańcy obu części bliźniaka muszą albo korzystać z niego wspólnie, albo wypracować jakiegoś rodzaju harmonogram użytkowania. Nikogo nie ma jednak w pobliżu, więc kiedy już się rozlokujemy, może wskoczę tam sobie na moment, żeby ulżyć mięśniom obolałym po długiej jeździe samochodem.

Po obejrzeniu wszystkiego na zewnątrz, wchodzimy po schodkach na ganek i próbuję przekręcić klucz po lewej stronie. Drga... i nic się nie dzieje.

To nie tutaj. Dziwne.

Bitters musiał podać nam zły numer. Powiedział, że jesteśmy w domku 31-A, a nie 31-B.

To nic takiego. Wsuwam klucz do zamka przy numerze 31-B po prawej stronie. Od razu się przekręca i już — drzwi są otwarte.

Wchodzimy do przytulnego wnętrza, pełnego światła w miękkiej, drewnianej tonacji, umeblowanego w ciemnych, ziemistych, przyjemnych barwach. To trochę jakby Martha Stewart spotykała się z „Mountain Home Magazine”. Jestem zachwycona atmosferą tego miejsca.

Moja siostrzenica skrada się nieśmiało za mną, rozglądając wokół.

— Ale fajnie. W środku wszystko wydaje się nowsze, niż bym przypuszczała. — Posyłam Tarze rozbrajający uśmiech i rzucam torbę na kanapę. — Zobaczmy łóżka. Domek jest chyba na tyle duży, że może nawet będziemy miały oddzielne sypialnie.

— Jeśli nie — odzywa się wesoło Tara, kierując się już w stronę korytarza — możemy po prostu udawać, że to nocowanka!

Idę za nią, mimo woli patrząc na nią z miłością.

Ta dziewczynka jest tak odporna na przeciwności losu, tak łatwo adaptuje się do sytuacji, zawsze znajdując we wszystkim dobrą stronę. Tęsknię

za czasami, gdy sama byłam równie radosna, optymistyczna i entuzjastyczna. A niech mnie, może uda mi się czegoś nauczyć od dziesięcioletniej trzpiotki.

Dostrzegaj jasną stronę życia, doceniaj to, co nowe, i po prostu *żyj dalej*.

Jestem zbyt zaabsorbowana wchodzeniem do pierwszej sypialni, żeby się domyślić, co zaraz się stanie.

Wielka, szorstka łapa chwyta mnie za ramię, okręca i przyciska boleśnie plecami do ściany.

Jasna...

Zanim mam czas, żeby choćby zamrunąć, doskakuje do mnie jakiś potwór, szarżujący byk, który pojawia się nagle i zagraża mi drogę murem mięśni, zapachu sosny i ciemnych, misternych tatuaży.

Jestem w zbyt wielkim szoku, żeby choćby krzyknąć.

Zamiast tego wydaję z siebie tylko cichy pisk. Serce łomocze mi w gardle, puls szaleje.

Pół sekundy później wpatruję się w ponurą, zaciśniętą, boleśnie przystojną twarz oraz blade, ostre, niebieskie oczy, które przewiercają mnie swoim spojrzeniem, gdy olbrzym dociska mnie do ściany.

Przytrzymuje mnie mocniej. Przygniata z taką siłą, że czuję się jak komar, a z jego ciała bije taki żar, że mam wrażenie, jakbym weszła do pieca. Fale gorąca uderzają mnie od koniuszków palców po czubek głowy.

— Jak się tu, kurwa, dostałaś? — pyta ostro, wydając z siebie niski, wibrujący pomruk, który niemal fizycznie chłosta mnie po ciele. — Kto cię przysłał? Bress wie? Przyjdzie tu?

Jasna cholera.

To coś nowego. Zupełnie zamieram.

Nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby wielgachni mężczyźni unieruchamiali mnie i zarzucali pytaniami.

Mój umysł nie potrafi wybrać między paniką a wściekłością, ani też uznać, czy ten drań mnie obmacuje.

Zastygam jak sarna przed nadjeżdżającym samochodem. Albo opos. Tak, to właśnie ja.

Uruchomcie we mnie instynkt *uciekaj albo walcz*, a ja nie zrobię ani jednego, ani drugiego.

Po prostu się zatnę.

Lepiej mnie nie prosić, żebym kiedykolwiek pomogła podczas bójki w barze. Jestem bezużyteczna.

Tara jednak bardziej się przydaje, bo na nasz widok po wyjściu z drugiej sypialni wydobywa z siebie wrzask, który mógłby pozrywać dachy z domów w obrębie kilometra.

Olbrzym odskakuje szybko, puszczając jedno z moich ramion, i odwraca się do niej gwałtownie.

I wtedy się okazuje, że ostatecznie nie jestem aż tak bezużyteczna.

Bo w tej samej *sekundzie*, w której mogłoby mu choć *zaświtać*, żeby zbliżyć się do Tary, wszystko we mnie wybucha. Odpycham jego drugą rękę i patrzę na niego z wściekłością.

— Puszczaj mnie, gnoju! — warczę.

On tylko mruga, oszołomiony, opuszczając nagle wzdłuż ciała masywne pięści.

Jest wysoki — jak sekwoja, do tego stopnia, że nie wiem, jak się mieści w korytarzu, skoro głową niemal dotyka sufitu, a jego czarne włosy kłębią się jakiś centymetr od tynku.

Jego koszulka przypomina bardziej malunek na grubych, węzłowatych mięśniach, bez cienia delikatności, na ciele wystarczająco twardym, żeby kogoś przeciąć. Niebieski materiał tylko delikatnie różni się odcieniem od tatuaży spływających wzdłuż masywnych, nabrzmiątych rąk — labiryntu wzorów, stylizowanych liter i jednego prostego obrazka z imieniem *Jenna* wytrawionym drobnym pismem.

Mężczyzna przesuwając po brodatej twarzy dłonią, a zgrubienia na jej wnętrzu słyszalnie ocierają się o jego zarost. Wciąż też wpatruje się w Tarę.

— Ja pierdolę. To dzieciak — warczy.

— Co ty nie powiesz, Sherlocku — odgryzam się. — I jest ze mną. Nie waż się jej tknąć.

Znów przyskakuje do mnie.

Duży błąd.

Nie czekając na kolejną okazję, walę go torebką w beczelnie przystojną głębę, chlastając wystarczająco mocno, żeby przy odrobinie szczęścia zostawić na śniadej cerze odcisk skóry pieprzonego aligatora.

Facet zatacza się ze stęknieniem. Przebiegam obok niego, łapię Tarę za rękę i rzucam się do drzwi.

— Chodź!

Powinłam była wiedzieć, że nie ucieknę zbyt daleko. Goliat może i jest wielki, ale przy tym zwinny niczym kobra — szybki jak błyskawica i śmiertelnie niebezpieczny. Robimy trzy kroki w stronę salonu, zanim znów nas dopada i odcina nam drogę ucieczki, blokując wyjście. Obie z Tarą zatrzymujemy się gwałtownie, zataczając się do tyłu.

— Odsuń się — warczę i znów unoszę groźnie torebkę.

Pewnie, nie wyrządzą mi nią zbyt wielkiej krzywdy, ale wątpię, żeby było przyjemnie mieć w ustach pełno skóry.

Dryblas krzyżuje ręce na piersi, szykując się do walki, i patrzy na mnie stanowczo.

— Dopóki nie uzyskam kilku odpowiedzi, nigdzie się stąd nie ruszycie, paniusiu — warczy.

— Odpowiedzi na *co*? Ledwie tu weszłam, a ty zaczynasz rzucać mną po ścianach jak cholerną piłeczką pingpongową!

— Zgadza się. Wszedłeś do *mojego* domku, więc...

— Poprawka: to nasz domek. — Cofam się z twarzą gorącą z wściekłości, wymachując kluczem jak małym sztyłem. — Zarezerwowany i opłacony. Nie wiem, co *ty* tutaj, do licha, robisz. Może sam powinieneś odpowiedzieć mi na kilka pytań?

Zanim udaje mi się cofnąć, facet wyrывa mi klucz z ręki.

Skur...

— Do jasnej *cholery* — przeklina i patrzy na klucz, a potem ze zmęczonym westchnieniem przesuwając dłoń po twarzy. Kiedy znów na mnie patrzy, wydaje się wręcz skruszony, a jego błękitne oczy przybierają ciemny odcień płynnego kobaltu. — Flynn dał wam zły klucz. Przepraszam. — Zaciska szczękę. — Przesuń się. Zaraz to wyjaśnię.

Zagryzam usta. Naprawdę nie lubię, jak ktoś rozstawia mnie w ten sposób po kątach.

Jednak nie chcę też stać na środku salonu niezmiernie rozwścieczonego Hulka.

Z ociąganiem wychodzę z domku, gdy on otwiera nam drzwi. Tara idzie za mną.

Boże. *Naprawdę* mam nadzieję, że facet preferuje samotność. Bo myśl o spędzeniu kilku następnych dni na ciągłym natykaniu się na tego kretyna właśnie znacząco zaburzyła moje wyobrażenie o odprężających miniwakacjach.

Ale gdy gość wychodzi na ganek, zatrząskuje drzwiami i zamyka je na klucz, mimo woli zatrzymuję wzrok na jego zwężającej się ku dołowi sylwetce.

Dlaczego *seksowni* faceci zawsze mają osobowość, z którą kontakt przypomina kąpiel w żrącym kwasie?

Nawet jeśli to kretyn, przyjemnie zawiesić na nim oko.

Te dzinsy aż za bardzo kochają jego biodra. Z udami też mają bliskie stosunki.

Jego ramiona się kołyszają, gdy idzie sprężystym krokiem z tą potężną siłą, zdradzającą, że jej źródłem jest umiejętność obnoszenia się ze swoim masywnym ciałem.

A te tatuaże... Boże, miej nade mną litość. Mówimy o dziarach tak szalonych, tak intensywnych, tak misternych, że przemawiają do mojej artystycznej duszy niczym buzujący ogień, który wabi ćmy.

Tylko kilka razy udało mi się rzucić okiem na wykrzywioną wściekłością twarz, i też jest niczego sobie.

Oczy w kolorze nocnego nieba. Przycięta równo broda. Włosy jedynie odrobinę zbyt długie, ciemne i gęste, łączące się z brodą wokół twarzy w formie szorstkiej aureoli wybuchowego testosteronu.

Ma w sobie to coś.

Coś, co mi się podoba.

Może dlatego, że Eddy był zupełnie inny — chudy, wymuskany i śliczny tą chłopięcą urodą.

Może dlatego, że Eddy aż za dobrze ukrywał swoją zgniłą osobowość, podczas gdy Goliat nosi na ramieniu odznakę dupka.

Może dlatego, że wciąż staram się zrozumieć, co, u licha, w ogóle się tu wydarzyło?

Widzicie? *Uczę się* od Tary dostrzegać jasną stronę.

Moja siostrzenica marszczy brwi i uwiesza się na balustradzie ganku, odprowadzając faceta wzrokiem.

— Zachował się jak palant, prawda, ciociu Hay?

— Opłata za przekleństwo — przypominam i z westchnieniem opieram się obok niej. — To chyba będzie nasz nowy sąsiad przez kilka najbliższych dni.

— Gdzie on idzie?

— Wydaje mi się — mówię — że idzie zamienić klucze.

Stoimy tak jeszcze przez chwilę, a mnie dręczy złe przeczucie, z którego nie mogę się otrząsnąć.

Proszę, tylko ten jeden raz, niech coś się uda.

Niech ta zamiana zakończy mój dramat z tym jaskiniowcem i jego napadami szału.

OKAZUJE SIĘ, ŻE WCALE nie poszedł wymienić klucza.

Przeniosłyśmy się z Tarą tymczasowo do ogródka na tyłach domku i podczas oczekiwania wyłożyłyśmy na dwóch bardzo wygodnych leżakach.

I tak nie mam zamiaru się stąd ruszyć.

Moja torba nadal leży na kanapie w domku tego kretyna, a on zamknął drzwi. Co prawda, na zewnątrz temperatura jest idealna, żeby pławić się w słońcu, mimo że późne popołudnie zamienia się powoli w wieczór — wciąż jest jednak na tyle ciepło, aby z przyjemnością wystawiać się na promienie, nie zalewając się przy tym potem i nie zamartwiając o smarowanie kremem przeciwsłonecznym.

Prawie przysypiam, gdy gwałtownie wybudza mnie torba lądująca na moim brzuchu.

— Uch!

Otwieram oczy, przyciskając ją do siebie, i pochylam odrobinę.

Dupek do kwadratu stoi nade mną, znów krzyżując ręce na piersi, jakby chciał zrobić z siebie żywą zaporę. Jego twarde, niebieskie oczy omiatają mnie spojrzeniem. Nawet nie słyszałam, kiedy przyszedł. Zakradł się cicho jak lew.

Patrzę na niego wściekle i kładę torbę na ziemię między leżakami.

— Czy to było naprawdę konieczne? — pytam, ale nie daję mu szansy na odpowiedź. Wyciągam tylko rękę i zaciskam usta. — Gdzie klucz?

— Nie ma klucza — odpowiada stanowczo. — Wykupiłem waszą stronę domku. Więc ty i twoja smarkuła musicie się wynieść gdzie indziej. Ja cenię sobie prywatność.

— Nie jestem smarkułą — stroszy się Tara. — Mam dziesięć lat!

— Ona ma dziesięć lat — powtarzam, patrząc na niego ze złością. — I nie masz prawa nas wyrzucać. Jesteśmy klientkami, które za siebie płacą. Z tego, co wiem, nie jesteś właścicielem zajazdu.

— Jeśli pieniądze stanowią problem, zwrócę ci *podwójnie* to, co dałaś Flynnowi za pokój.

Wpatruję się w niego. *Że co?*

Sytuacja robi się... dziwna. I podejrzana.

Dlaczego on tak desperacko pragnie się nas stąd pozbyć, że jest gotowy nie tylko wykupić naszą część domku, ale dodatkowo przeznaczyć pieniądze na to, żeby mnie spłacić? Czy ten gość ma kryminalną przeszłość?

Kręcę głową.

— Nawet gdybym chciała przyjąć twoją ofertę, to nigdzie się stąd nie ruszę. *Nie mogę.*

Unosi grubą brew.

— A dlaczego niby nie, do diaska?

— Zepsuł się nam samochód. Co prawda, to nie twoja sprawa i wcale nie muszę się przed tobą tłumaczyć — odpowiadam. — Ale ponieważ to jedyny przybytek hotelarski w mieście i jedyny dostępny pokój, to nigdzie się stąd nie wybieram, chyba że masz ochotę pchać moje auto aż do następnej miejscowości.

Na jego kretyńskiej twarzy zachodzi dziwna transformacja.

Przez chwilę wygląda wręcz na zaniepokojonego. A przynajmniej tak mi się zdaje, że to niepokój, a nie zgaga.

Potem się krzywi, jakby sam był na siebie wkurzony o to, że ośmielił się poczuć ukłucie wyrzutów sumienia. Później znów pojawia się niepokój, a następnie tylko ponura rezygnacja.

Goliat wzdycha, a ostre granice jego brwi zbliżają się do siebie, gdy zamyka oczy i przesuwają maszyną, grubo ciosaną dłonią po twarzy.

— Domyślałem się, że Flynn dzwonił do Stewarta z warsztatu w sprawie twojego samochodu.

— Skąd mam wiedzieć, skoro od przyjscia tutaj miałam do czynienia wyłącznie z *tobą*. Pewnie nie będę zaskoczona, jeśli Flynn nie zwracał sobie głowy telefonowaniem w sprawie mojego wozu, skoro mu powiedziałeś, że wyjeżdżam.

I znów to zaniepokojone spojrzenie. Facet podnosi rękę i niemal z bólem ściska sobie nasadę nosa, a potem znów zamyka oczy i przykłada kciuk i palec wskazujący do powiek.

— Nie wyjeżdżacie stąd.

Mrugam.

— Słucham?

— Powiedziałem — warczy — zapomnij o tym. Nie wyrzucę cię na bruk w sytuacji, gdy nawalił ci samochód, nie masz gdzie się podziać, a do tego jesteś ze sma... — Zerka na Tarę. — *Z młodą damą*.

Wpatruję się w niego.

Wow. Czy ten nastroszony przyglup próbuje się zachować *szarmancko*? Zbyt łatwo poszło.

Nie kupuję tego. I nie akceptuję.

Krzyżuję przed sobą ręce i odwracam głowę.

— Uwierzę, kiedy zobaczę klucz.

Mężczyzna ciężko wdycha i przeczesuje dłonią włosy tak, że gesta, ciemna płątanina zaczyna przypominać nastroszoną, chłopięcą czuprynę, co łągodzi ostre rysy jego twarzy.

— No tak. Daj mi chwilę.

Tym razem słyszę, jak szybko się oddala. Zamiast bezszelestnego kociego kroku, stawia stopy ciężko i ze znużeniem. Nie muszę patrzeć, żeby oczyma wyobraźni zobaczyć kołysanie masywnych ramion.

Kontakty z tym gościem oficjalnie mnie *przerastają*.

A nawet nie wiem, jak się nazywa.

WRACA DOPIERO po kolejnych dwudziestu minutach.

Spędzam je całe na tym, żeby udobruchać Tarę, obiecując jej, że jutro porobimy coś fajnego i jakoś zrekompensujemy sobie cały ten cyrk.

Nie powtórzę, co Tara mówi o Goliacie. Może nie musi w związku z tym wносить opłaty za przeklinanie, ale opis wspina się na wyżyny podwórkowych złośliwości.

Choć obie zaczynamy chichotać, gdy Tara mówi, że on wygląda jak człowiek-kupa.

Może do czasu wyjazdu tak będziemy go nazywać.

Po powrocie facet bez słowa wręcza mi nowy klucz, a potem odwraca się i wchodzi do swojego domku tylnym wejściem, zatrząskuje za sobą drzwi i przekręca zamek od środka. Nie ogląda się za siebie. Nie otrzymuję żadnych przeprosin, bo wcześniejsze „przepraszam” się nie liczy.

I dobrze. Jeśli chce, niech się dąsa i burmuszy w samotności.

Ja natomiast mam najlepsze towarzystwo pod słońcem i uważam, że zasłużyłyśmy sobie na maraton filmowy.

Z kluczem w dłoni wprowadzam nas do środka. To miejsce przez kilka najbliższych dni będziemy nazywać domem. Przez chwilę urządzamy się w naszych pokojach i rozpakowujemy rzeczy, a potem wertuję hotelową książkę telefoniczną.

Wygląda na to, że Heart's Edge nie jest aż tak małe, żeby nie było w nim pizzerii.

Pół godziny później siedzimy z Tarą zwinęte na kanapie, jedząc na spółkę pizzę z pepperoni i ananasem, i jednocześnie szukamy jakiegokolwiek filmu z Hugh Grantem.

Tara może i jest małą dziewczynką, ale ma dobry gust.

Przeszukując ofertę płatnych filmów, mimo woli wracam myślami do ponurego, niebieskookiego potwora, który od momentu zatrzaśnięcia drzwi nie wydał po swojej stronie ani jednego dźwięku.

Kim on, do licha, *jest*?

O co mu chodzi?

I dlaczego przez niego zaczynam wątpić nie tylko w to, czy mądrze jest zostawać w Heart's Edge... ale również w całe kolosalne zamieszanie, którego narobiłam w swoim życiu?

Czy naprawdę chcę zacząć wszystko od nowa? Obracam w myślach to pytanie, dosłownie gryząc się z nim pod postacią rantu pizzy.

A może zwyczajnie uciekam od jednego problemu, wpędzając się po prostu w kolejny?

ROZDZIAŁ 2.

PŁOMIENIE ROSNĄ W SIŁĘ (WARREN)



*H*aley West.

Takie nazwisko podał mi Flynn, gdy przyparłem go do muru w sprawie popieprzenia domków i wpatrywałem się w niego tak długo, aż odwrócił wzrok.

Zaczął się jąkać i trząść, jakby moje wściekłe spojrzenie mogło mu wyrządzić faktyczną krzywdę. Nic nowego.

Flynn nie ma kręgosłupa moralnego, a jedynie rurkę wypełnioną jackiem danielsem czy innym świństwem, które akurat dziś żłopie. Niesamowite, dlaczego babcia w ogóle go zatrudnia. Koleś zmiękł dość szybko, gdy mu powiedziałem, że ma się pozbyć nowo przybyłej.

Powinienem wiedzieć, że sytuacja była bardziej skomplikowana, niż mi powiedział.

Zawsze tak jest w przypadku dziewczyn *jej* pokroju.

Zawsze też w parze z nimi idą kłopoty.

Niech mnie, jeśli pozwolę tej porywczej złošnicy wałęsać się po Heart's Edge bez zapewnionego noclegu czy choćby sprawnego samochodu.

Ale muszę się *jej* stąd pozbyć.

Prawie mnie zdemaskowała. Dopóki wszyscy sądzą, że jestem samotnikiem z małego miasteczka, który wrócił do domu, żeby się przywitać, nikt

nawet nie mrugnie okiem. Ani nie będzie się dziwił, dlaczego mieszkam w zajeździe babci.

Oczywiście, wybrałem jeden z domków zamiast sutereny u babci. Dorosły facet potrzebuje ostatecznie odrobiny prywatności, a według plotek zatrzymałem się tu tylko do czasu, aż kupię coś swojego w mieście.

Czasem plotki się przydają.

Zdradzaj jak najmniej szczegółów, a ludzie zwykle sami wymyślą najbardziej wiarygodną przykrywkę. Sam nie będziesz musiał nic mówić.

Prawda jest taka, że nie mogę pozwolić na to, żeby moje brudne interesy zaskodziły babci albo ciężkiej pracy, którą wkłada w prowadzenie Uroczyska.

Więc trzymam swoje sprawy pod kluczem — tyle że ta zielonooka jedza niemal wkroczyła do mojego centrum dowodzenia.

Ja pierdołę.

Gdyby zobaczyła tablice, wycinki z gazet, mapy do śledzenia ruchów przeciwnika... Trudno powiedzieć, co by sobie pomyślała. Pewnie siedziałbym teraz zakuty w kajdanki i odpowiadał na pytania szeryfa Langleya.

Wiem, co ja sobie pomyślałem.

Że przysłał ją Dennis Bress.

Że domyślił się, iż podążam jego tropem i uznał, że nie zareaguję źle na widok pięknej kobiety, wchodzącej jakby nigdy nic do mojego domu, aby wy badać, co wiem. W dalszym ciągu nie mam stuprocentowej pewności.

Jednak zepsuty ford mustang za płótem wygląda dość przekonująco.

Tak czy siak. Ona musi stąd zniknąć.

Przeszkadza i dekoncentruje. W *najgorszy* możliwy sposób, bo jest drobna, zaokrąglona w odpowiednich miejscach i szczupła, a z tego, co zdążyłem wczoraj zauważyć, jest też wielbicielką obcisłych dżinsów i krótkich, luźnych bluzeczek odsłaniających opalone, umięśnione zagłębienie w talii za każdym razem, gdy nabierze choćby odrobiny powietrza.

A sposób, w jaki kaskada ciemnobrązowych włosów okalających jej twarz opada, chłuszcząc i kołysząc się przy każdym gwałtownym, energicznym geście... Facet nie może prosić o lepszy sposób na to, żeby fiut stwardniał mu jak diament.

Nie jest to na pewno coś, na czym powinienem się w tej chwili koncentrować.

Nie jest to coś, co byłoby mi w jakikolwiek sposób potrzebne.

A ona to niestety nie jedyny problem. Kurwa mać, ten biedny dzieciak, który jej towarzyszy, był o włos od natknięcia się na mój tajny arsenał.

Futerały z bronią. Nie miałem jeszcze czasu wszystkiego rozpakować i oddzielić amunicji od broni palnej. To mogło się skończyć katastrofą.

Panna Haley może być cholernie wkurzająca, ale nie wybaczyłbym sobie, gdyby z mojej winy jej albo dziecku stała się krzywda.

Wiedziałem, że urządzenie bazy w domu będzie niełatwe. A dopadnięcie Bressa jeszcze trudniejsze.

Po prostu nie spodziewałem się tego rodzaju komplikacji.

Lecz jest jeden sposób, żeby się jej pozbyć. I dlatego środek nocy zastaje mnie na cementowej podłodze zasyfionego garażu w szopie Flynna, w której mieszka na obrzeżach posiadłości. Znalazłem się tutaj po tym, jak podpięliśmy hol do pickapa starego i wtoczyliśmy do środka mustanga Haley.

To bez dwóch zdań ładny wóz.

Wykochany, jednak ktoś montował w nim używane części i choć na jakiś czas to mogło załatwić sprawę, to elementy szybciej się przez to psują.

Wygląda na to, że padł gaźnik, ale powinno mi się udać z grubsza naprawić go tak, żeby pociągnął jeszcze ze sto pięćdziesiąt kilometrów. Tyle wystarczy, aby dojechała do większego miasta ze specjalistycznym warsztatem lub sklepem, który będzie miał części do mustanga.

Nie muszę długo grzebać, by się zorientować, że zablokował się zawór pływakowy.

Wystarczy trochę potrząsnąć, trochę postukać, i już.

Tylko że znów się zatnie — gdy gaźnik zaczyna się psuć, dalej idzie już szybko — jednak jeszcze dzień lub dwa kobita powinna móc ujechać. Muszę jej tylko uświadomić, że trzeba wymienić wadliwą część w najbliższym mieście, do którego dojedzie, kiedy rano się stąd wyniesie — stąd i z mojego życia.

— Siemka, War. — Znajomy głos odzywa się spod drzwi. — Jak tak dalej pójdzie, wysiudasz mnie z roboty.

Wysuwam się spod samochodu i biorę ścierkę, żeby wytrzeć palce ze smaru.

Stewart Saxbe stoi w otwartej bramie garażowej, z lekkim uśmiechem opierając się ramieniem o framugę. Jego brązowe oczy lśnią, a kombinezon mechanika opina się na zwalistej, umięśnionej postaci.

Tak jak ja jest byłym żołnierzem i nie potrafi porzucić dawnych nawyków, które każą człowiekowi być zawsze w formie, zawsze gotowym do walki. Nie byliśmy w jednym oddziale, nawet jeśli wielokrotnie mieszkaliśmy w tej samej bazie, ale można powiedzieć, że służyliśmy razem w Afganistanie.

Jenna pracowała razem ze Stew i z kilkoma innymi, którym bez wahania powierzyłbym swoje życie.

Albo jej.

Ale Jenna nie wróciła.

To nie jest jednak pora na powrót do wspomnień.

Uśmiecham się do Stewarta i wstaję. Ściskam mocno jego dłoń.

— Musiałem po prostu zająć się pewną niedogodnością. Wścibską sąsiadką, która wyjedzie, gdy tylko naprawię jej samochód.

— Słyszałem. Flynn streścił mi sprawę. — Unosi brwi. — Stwierdziłem, że zerknę na ten wóz w drodze do domu. Niezła bryka. Co się zepsuło?

— Gaźnik nawalił. — Wzruszam ramionami, opierając się biodrem o jeden ze stołów warsztatowych. — Poluzowałem zawór pływakowy. Powinien wytrzymać do czasu, kiedy będzie mogła oddać auto do porządnej naprawy.

Stewart mierzy samochód wzrokiem, a potem otwiera maskę i zagląda do środka.

— Wygląda dobrze — stwierdza, wkładając tam rękę, i gmera w silniku. — Trzeba jeszcze wyregulować ssanie. Jesteś pewny, że chcesz ją puścić dalej pojazdem w takim stanie?

— Nie mam za bardzo wyboru — mówię.

Nie mogę wyjawić Stewartowi, dlaczego tak naprawdę chcę się jej jak najszybciej pozbyć. Nikomu nie mogę tego wyjawić.

Ufam mu bardziej niż komukolwiek innemu, ale ponieważ on ze wszystkimi żyje w przyjaźni, może mu się coś przypadkiem wymknąć. W małym mieście wieści szybko się roznoszą i łatwo mogą dotrzeć do kogoś powiązanego z Dennisem Bressesem.

— Wątpię, żebyś posiadał na stanie gaźnik dla tego konkretnego modelu ford'a. Chyba że akurat masz?

— Nie, ale mogę go zamówić i przyjdzie za kilka dni. Wyszykuję jej wóz tak, że będzie jak nowy. Nie będzie musiała się bać, że znów się gdzieś rozkraczy po drodze, nim dotrze w bezpieczne miejsce.

Krzywię się. *Kilka dni.*

Ma rację. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, żeby nie zgodzić się z nim w sposób, który nie wzbudzi podejrzeń i nie każe mu się zastanawiać, dlaczego aż tak bardzo zależy mi na wykurzeniu stąd tej dziewczyny.

— A to nie będzie drogie? Bo to przecież klasyk?

— Po to istnieje eBay. — Stewart klepie ze śmiechem maskę, prostuje się i obrzuca samochód pochlebny spojrzeniem. — Poza tym sąsiedztwo takiej ładnej dziewczyny? Powinna ci zapewnić zajęcie po powrocie. Dokładnie tego potrzebujesz.

Dokładnie tego *nie* potrzebuję.

I dokładnie tego się obawiam.

Wielka szkoda, że chwilowo skończyły mi się wymówki. Wezmę to na klatę.

Ostatecznie mój pobyt w Heart's Edge nie jest niczym ograniczony. Mam czas. Mogę poczekać, aż Haley West i ta urocza dziewczynka — jej córka, jak się domyślam, *młoda dama*, która nie jest smarkulą — po kilku dniach nasycą się sielskim pobytom w górach i ruszą w dalszą drogę.

Dennis Bress nigdzie się stąd nie ruszy.

Ja też nie.

Przynajmniej dopóki nie dostanę tego, czego chcę.

Stewart posyła mi przeciągłe spojrzenie — badawcze, znaczące. Jest moim dobrym przyjacielem i zawsze wie, co mi w duszy gra, nawet jeśli nic nie mówię — a może właśnie dlatego, że nic nie mówię.

Zamyślony i milczący, opiera się o mustanga od strony kierowcy, krzyżuje ręce na piersi i się mi przygląda.

— To nie ta dziewczyna cię zdenerwowała — stwierdza cicho. — Coś innego nie daje ci spokoju, prawda? A jeśli znam cię tak dobrze, jak mi się wydaje, że cię znam, War, to jest to ta sama rzecz, która nie daje ci spokoju od trzynastu lat.

Sztynnieję, zaciskam zęby i odwracam wzrok.

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— Nie, nigdy nie chcesz. Posłuchaj mnie, Warren... — Wzdycha. — Myślałem, że wróciłeś do Heart's Edge, bo uznałeś sprawę za zamkniętą, ale ty nadal jesteś ostry jak brzytwa, gotowy poszatkować wszystko na kawałki. Dlaczego tak naprawdę przyjechałeś?

— To mój dom. Nie wydaje mi się, że muszę mieć wymówkę, żeby do niego wrócić.

— Gdyby to był twój dom — zauważa cicho — to nie płaciłbyś za wynajem pokoju.

Uśmiecham się blade i bez humoru.

— Daj spokój, stary. Nie słyszałeś plotek? Jestem do wzięcia. Szukam domu i żony. Strzeżcie się, wolne panie.

Stew prycha, a potem posyła mi kolejne zaniepokojone spojrzenie.

— No cóż, nie moja sprawa, co robisz. Może powinieneś po prostu poderwać pannę Mustang i wyjechać z nią z miasta? To najprostsze rozwiązanie.

— Bzdura. Niech ci nawet nie przychodzi do głowy, żeby mnie swatać. I nie próbuj mnie stąd wyganiać. — Odsuwam się od stołu warsztatowego i prostuję. Rzucam w niego brudną od smaru ścierką. — Chcesz się mnie stąd pozbyć, bo wiesz mi... ile? Sześć browarów?

Stew unosi brew z celowo nierozumiejącym spojrzeniem.

— Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

— Akurat. To *właśnie* przez tę beznadziejną twarz pokerzysty wiesz mi sześć browarów. — Prycham i szturcham go łokciem. — Pomóż mi jeszcze raz wszystko sprawdzić i zamykamy tę brykę.

Obecność Stew dobrze mi robi.

Być może przypomina lepsze czasy. Przez chwilę, gdy po raz ostatni sprawdzamy mustanga i upewniamy się, że wszystko jest dokręcone, czuję się niemal jak dawniej.

Zanim nadszedł ten pamiętny dzień.

Zanim nadeszła wiadomość, przez którą zmasakrowałem sobie dłonie do krwi. Zanim pojawiła się opuszczona flaga, smutna salwa honorowa, pieprzony nekrolog.

Zanim się dowiedziałem, że Jenna już nigdy nie wróci do domu.

Przez krótką chwilę jedynie przerzucamy się ze Stewartem starymi historyjkami, dogryzamy sobie nawzajem. A kiedy on wychodzi do domu...

Czuję się trochę spokojniejszy. Trochę bardziej skoncentrowany, gotowy wrócić do pracy.

Jasne, w mieście wszyscy już poszli spać, ale ja dopiero zaczynam.

Rzucam tylko jedno spojrzenie na ciemne okna po drugiej stronie bliźniaka, a potem zamykam się w swoim centrum dowodzenia i zabieram do pracy wywiadowczej.

PRAWIE ŚWITA, GDY W KOŃCU chwilowo porzucam pogoń za duchami i kładę się do łóżka.

Zdejmuję koszulkę i dżinsy, rozbieram się do bokserek i padam twarzą na materac. Jestem przyzwyczajony do długiego czuwania, ale w ciągu ostatniej doby przyjąłem wystarczająco dużo podkreślonych piłek, żeby mnie to kompletnie wyczerpało. Więc naprawdę liczę na porządne kimanko.

Niestety sąsiadka zza ściany ma inne plany.

Mam wrażenie, że spałem nie dłużej niż dziesięć minut, gdy ktoś zaczyna stepować mi po czaszce.

A przynajmniej to mi się śni. Ktoś stoi nad moim łóżkiem z małym młoteczkim z rodzaju tych, jakich używają lekarze do badania odruchów, i wali nim w moją głowę. We śnie wyobrażam sobie, że dźwięk jest brzękliwy, rytmiczny i monotony, jakbym na szyi miał kulę ze szkła.

Ale tak naprawdę to ta mała złoźnica stoi w moim progu i uderza w okienko drzwi od frontu.

Z jękiem przewracam się na bok, pozwalając, aby jedna ręka spadła mi na ziemię, a sam wyglądam zza drzwi sypialni w głąb korytarza. Kurwa mać.

Z tego miejsca niewyraźnie widzę tylko kawałek drzwi frontowych, rozmytą poświatę zbyt jaskrawego słońca wpadającego przez szybkę, która zamienia drobną, krągłą postać po drugiej stronie w rozmazany kształt.

Nie muszę widzieć tej kobiety klarownie, żeby wiedzieć, że jest wkurzona. Poznać to można po jej postawie, wypchniętym biodrze, rękach

krzyżowanych na piersi pomiędzy kolejnymi rundami niecierpliwego stankania, które mogłoby zawstydzić najbardziej zawziętego dziecięcia.

Gderając pod nosem, wciskam twarz w poduszkę i za pomocą bawełnianej poszewki tłumię przekleństwo.

Co, kurwa, tym razem?

Może jeśli nie ruszę się z miejsca, baba sobie pójdzie. Wsiądzie do swojego ładnego, naprawionego samochodu i *odjedzie*.

— Wiem, że tam jesteś! — woła Haley, a szklany panel wygłusza jej głos. — Widzę twój tyłek.

W takim razie możesz mnie w niego pocałować, kotuś, niemal rzucam w odpowiedzi, ale potem zmuszam się do tego, żeby milczeć. Podciągam się na dwóch rękach i wstaję mozolnie z łóżka.

Dziewczyna pewnie uzna, że mam kaca — jestem bez koszuli, bez spodni, rozczochrany, z zapuchniętymi oczami — ale mało mnie to obchodzi.

Jeśli ktoś zmusza mnie do zwleczenia się z łóżka, musi wiedzieć, że w pałacu Forda panuje zasada wolności obyczajów. Zataczając się, podchodzę do drzwi i je otwieram. Opieram się ręką o framugę nad głową i przyglądam Haley z kwaśną miną.

— *Co.*

To nie jest pytanie.

Dziewczyna nic nie mówi. Mruga tylko, wpatrując się we mnie pustym spojrzeniem, zaczynając od głowy, a kończąc na stopach, po czym znów szybko podnosi wzrok, jakby ktoś pociągnął za smycz, a jej ładna, pociągła twarz robi się czerwona — jednak nie sądzę, żeby to był rumieniec.

— Co jest, do cholery? Podoba ci się widok? — Mimo że jestem wkurzony, równie dobrze mogę się trochę zabawić jej kosztem.

W jej gardle utyka dźwięk brzmiący jak wyrzut sumienia. Zbyt szybko odwraca wzrok, chrząka i patrzy ze złością w odległy, słoneczny horyzont.

— Nie rozumiesz idei ubierania się, ty... ty...

— Warren — mówię z lekkim rozbawieniem. — Nazywam się Warren Ford, bo nie przyszło ci wczoraj do głowy zapytać.

— *Warren* — wymawia moje imię tak, jakby była to nazwa szczególnie obrzydliwego dzikiego zwierzęcia, co omal nie wywołuje uśmiechu na mojej twarzy. Ona tylko bardziej się krzywi. — A ty nie dałeś mi okazji do wymiany uprzejmości. Zresztą, sam też nie zapytałeś, jak się nazywam.

— Wiem, jak się nazywasz, Haley West.

Dziewczyna mruga, zerka na mnie, a potem od razu odwraca wzrok.

— Skąd wiesz?

— Wyluzuj. Flynn mi powiedział, kiedy poszedłem wyjaśnić sprawę z domkiem. — Wzdycham i zmieniam pozycję tak, żeby opierać się całym ciałem o framugę. Krzyżuję ręce na piersi i nogi w kostkach. — Czego właściwie chcesz, Haley? Jestem zajęтым człowiekiem i domyślam się, że ty również.

To pytanie na nowo rozbudza jej wściekłość.

Mała panna Wścibska odwraca się znów do mnie ze złością, kładąc ręce na szczupłych, ale krągłych biodrach.

Moje spojrzenie oczywiście natychmiast tam wędruje.

Dziś ma na sobie szorty zrobione z obciętych dzinsów, które są tak krótkie, że ledwie kwalifikują się na spodenki, a do tego tak obciste, że wpijają się w miękkie uda. Za duża koszulka baseballowa została nierówno obcięta i zwisa luźno z jej słodkiego zderzaka, odsłaniając przy każdym ruchu brzuch.

Możecie uznać, że całkiem mnie popieprzyło — czy raczej życzyłbym sobie, żeby ona to zrobiła. Migający widok jej pępka tak bardzo mnie dekoncentruje, że niemal nie dociera do mnie kolejne kąśliwe pytanie.

— Co zrobiłeś z moim samochodem?

— Z samochodem? Mustangiem? — Marszczę brwi, skupiając znów uwagę na jej twarzy i iskrzących wściekłością zielnych oczach obramowanych wstążkami brązowych włosów, których delikatne kosmyki wymknęły się z niechlujnego koka. — Naprawiłem go.

— Bez mojego pozwolenia?

— I tak chciałaś go oddać do naprawy. Jakie ma znaczenie, kto się tym zajął? — Wzruszam ramionami. — Do diaska, zaoszczędziłem ci trochę czasu i sporo pieniędzy. Pozwij mnie.

Jej różowe policzki zapadają się, jakby chwyciła zębami cytrynę.

— Swoją drogą, musisz wymienić gaźnik, ale naprawiłem ci tymczasowo stary. Wystarczy, żeby dojechać do Billings albo gdzieś w pobliże. — Unośzę brew. — Chyba że naprawdę chcesz zostać w tej zapadłej dziurze wystarczająco długo, żeby miejscowy warsztat zamówił ci nowy?

Nie zdradzam jej, że Stewart powiedział, że może to zrobić.

Haley mruży oczy i zaciska usta z dziwnym uporem. Coś mi mówi, że zechce podjąć wyzwanie.

— Serio? Mam uwierzyć na słowo kompletnie nieznanemu człowiekowi, że naprawił mój samochód i że razem z dzieckiem mogę bezpiecznie wjechać nim na autostradę? — Prycha, jakby powstrzymywała się od dodania: „Naprawdę masz mnie za idiotkę?”. — Dzięki, zaczekam na fachową opinię.

Niech to szlag.

Ma rację, ale ja po prostu nie jestem w stanie przy niej *funkcjonować*. Ode mnie i mojego misternego planu oddziela ją wyłącznie ściana, która jest zbyt cienka. To jasne, że nie mogę wykonywać takich ruchów, jakie muszę wykonać, żeby dopaść Bressa, gdy ta laska cały czas zagląda mi przez ramię. Z głębi mojego gardła wydobywa się pomruk. Rzucam jej wściekle spojrzenie.

— W porządku. Jak sobie chcesz...

Nagle oglądam jej plecy.

Pokazuje mi środkowy palec i odchodzi, zatrzaskując drzwi do swojej połowy domku.

Przesuwam dłonią po twarzy.

Niech to jasna *cholera*.

A zresztą.

Znudzi się i szybko wyjedzie. Potrafię rozpoznać mieszczaucha.

Heart's Edge nie ma zbyt wiele do zaoferowania ludziom przyzwyczajonym do wielkomięskiego nocnego życia. Komary bardzo szybko się nudzą. Nie wspominając o ciągłym cykaniu świerszczy i braku jakichkolwiek porządnych miejsc rozrywki poza jednym jedynym pubem z tarczą do gry w rzutki, w której jest więcej dziur niż korka.

To wszystko nadaje Heart's Edge uroku.

Jestem pewny, że to wszystko sprawi też, że o świcie dziewczyna ruszy ze swoim dzieciakiem na poszukiwania bardziej cywilizowanych rejonów.

Wzdycham, wchodzę do środka i zamykam drzwi. Jestem rozbudzony.

Kilka godzin snu będzie musiało jakoś mi wystarczyć. Może po zachodzie słońca utnę sobie drzemkę, zanim znów będę musiał wstać, gdy zrobi

się całkiem ciemno, żeby bawić się w tajnego agenta i szukać dalszych informacji.

Przecieram zaspane oczy, ładuję się pod prysznic i dobudzam na zasadzie terapii szokowej zimnym, mocnym strumieniem wody, puszczonej prosto w twarz. Dawny nawyk z Army Rangers.

Aż nazbyt często wysyłano nas w miejsca, gdzie mieliśmy szczęście, jeśli w ogóle była bieżąca woda. Wypracowałem w sobie ogromną wdzięczność za zimne prysznice, które wyostrzały zmysły i pozwalały zachować jasność umysłu.

Stwierdzenie, że *woda to życie*, nigdy nie nabierało większego znaczenia niż podczas służby u Wujka Sama.

Czuję się bardziej rześko, więc wycieram się, ubieram i idę do kuchni, żeby upichcić szybko jajecznicę na śniadanie i zrobić kawę. Podnoszę jednak głowę, bo zauważam jakiś ruch za oknem nad zlewem.

Haley wyprowadziła mustanga z garażu Flynna. Zaparkowała na poboczu wąskiej drogi gruntowej, biegnącej z boku domu, tuż za ogrodzeniem, a teraz obie z małą szarpia się z torbami na tylnym siedzeniu.

Pakują się i wyjeżdżają.

Dzięki, kurwa, Bogu.

Ogromne poczucie ulgi sprawia, że siedząc na kanapie, z przyjemnością piję poranną kawę i robię plany na nadchodzący dzień.

Plotka na temat tego, że szukam dla siebie domu, bo chcę osiąść na dobre, bardzo mi pomaga. Skorzystam z każdej wymówki, wzięwszy pod uwagę rozmiary, do jakich rozrosły się interesy Bressa od czasu, gdy jak zaraza rozniósł się po całym Heart's Edge.

Poszukiwania lokum to idealna przykrywka na krążenie po mieście. Będę udawał, że wypatruję na trawnikach znaków „na sprzedaż”, żeby móc za dnia przeprowadzać rekonesans jego inwestycji. Chcę wiedzieć o każdym kichnięciu Dennisa Bressa.

Gdzie spędza czas? Z kim? Co robi w weekendy?

Oraz co takiego odkryła Jenna na temat tego drania, że kazał ją zabić?

Dzięki państwowym archiwom notarialnym mam pomysł, od czego zacząć.

Kilka adresów, trasa, parę przystanków zaplanowanych po to, żeby nie wzbudzać podejrzeń, a potem do dzieła.

Wsiadam do swojego pikapa i jadę do miasta.

Ani śladu po ładnym, niebieskim mustangu. Dziewczyny musiały ochotczo wyjechać, bez słowa pożegnania.

Gdybym nie musiał deptać po piętach tej morderczej gnidzie, to może nawet zrobiłoby mi się przykro.

Jednak jakakolwiek myśl o nich wylatuje mi z głowy, gdy skręcam w boczną uliczkę odchodzącą od Main i dostrzegam Bressa we własnej osobie.

Cholera!

Wysiada ze swojego starego, spracowanego kampera zaparkowanego tuż przed wejściem do sklepu jeździeckiego. To najbardziej zbliżone do pasażu handlowego miejsce, jakie mamy w Heart's Edge, a to tylko dlatego, że właścicielka, Tandy Thatcher, pozwoliła swojej córce dołączyć małą część z artykułami plastycznymi, podczas gdy jej syn prowadzi na tyłach sklep ogrodniczy.

Bress wysuwa się z wozu jak wąż. Emanuje charakterystyczną dla siebie mieszanką znużenia i władczości; tą maską spokojnego, życzliwego człowieka założoną na czającego się pod nią demona. Przeczesuje swoje blond włosy w popielatym odcieniu i wzdycha ciężko, jakby nosił na sercu jakiś ogromny balast, a potem wchodzi do środka głównej części sklepu, która przypomina stodołę.

Tak wcześnie rano w pobliżu nie ma nikogo innego.

Idealna okazja.

Parkuję przy chodniku, a potem rozglądam się pospiesznie.

Nie ma żadnych samochodów, a ściana stodoły zasłania widok z wnętrza. Grzebię szybko w torbie, którą trzymam pod siedzeniem, i znajduję w niej jeden z lokalizatorów GPS.

Jest magnetyczny, mały i łatwy do ukrycia w nadkolu.

Przemykam obok wozu Bressa, chowając się za nim, a potem schylam się, żeby umieścić lokalizator tuż nad tylnym prawym kołem.

— Znow się bawisz w mechanika? — pyta za moimi plecami zgryźliwy głos.

Niemal wyskakuję z własnej skóry.

W nagrodę przywalam łbem w część mieszkalną kampera Bressa.

Sycząc i przeklinając, podnoszę się i rozcieram pulsującą bólem skroń. Odwracam się, żeby zobaczyć, kto mnie nakrył — mimo że już to wiem.

Bo kto, kurwa, inny?

Irytuje mnie, że już tak dobrze znam jej głos — tę mieszaninę zalotnej słodyczy z miękkim terkotaniem, zawsze bliską śmiechu. A Haley West ma teraz właśnie taką minę, jakby się ze mnie śmiała. Zatrzymuje kabriolet i opiera łokciem o drzwi od strony kierowcy, przyglądając się mi lśnięcymi oczami.

— Nic się panu nie stało? — pyta dziewczynka.

— Wszystko gra — odpowiadam, ale *szlag*, czy widziała, czym się zajmowałem? — Co wy tu robicie? — dociekam, zanim ona zdąży zapytać, co ja tutaj robię. — Myślałem, że wyjeżdżacie?

— Tak? A kiedy coś takiego powiedziałam? — Haley unosi obie brwi, z przesadą wydymając wargi. Dostrzegam wtedy podobieństwo między nią a dziewczynką. — Pan Bitters był tak miły i pokierował mnie do sklepu z artykułami dla plastyków, żebym mogła się zaopatrzyć.

Wpatruję się w nią nierozumiejącym wzrokiem.

— Zaopatrzyć?

W jej uśmiechu zauważam coś niemal triumfalnego, gdy wysiada z samochodu.

Jest tak gibką, energiczną, młodą osobą, że nawet nie bawi się w otwieranie drzwi. Podciąga się po prostu na rękach i przeskakuje nad nimi, lądując lekko na ziemi.

Mała próbuje pójść w jej ślady, ewidentnie widząc w niej swoją bohaterkę, ale kończy się to niezdarną wspinaczką i upadkiem. Dziewczynka chrząka i skromnie poprawia sukienkę. Niemal jak kociak, który patrzy, czy ktoś ośmielił się zauważyć, że spadł z parapetu.

Za to Haley przypomina bardziej kota, który dorwał się do śmietanki, gdy podnosi na mnie płonące spojrzenie swoich zielonych oczu i opiera stanowczo dłonie na biodrach.

— Okazuje się, że dosyć mi się tu podoba — mówi z uśmiechem tak słodkim, że aż jadowitym.

Absynt w kolorze jej oczu. Upajający i trujący.

Zaciskam pięści, ale milczę jak głaz, wpatrując się w nią z uporem.

— Chyba zostaniemy tu na trochę, sąsiedzie. Chicago nie ucieknie. Jaka by była ze mnie artystka, gdybym nie słuchała głosu muzy? A Heart's Edge jest naprawdę *urocze*. — Jej uśmiech tnie jak brzytwa. — Poza tym moja mała Tara nigdy nie wypoczywała na zadupiu, więc to wspinała okazja. Ale naprawdę, Warren, doceniam ciężką pracę, jaką włożyłeś w naprawę mojego samochodu i próbę wykurzenia mnie z miasta. Czuję, że spotkałam się z autentycznym małomiasteczkowym przyjęciem.

Nie wiem, co powiedzieć, bo przez tę wiadomość czuję, jakbym dostał obuchem w głowę.

Podczas gdy sądziłem dziś rano, że ona się pakuje, tak naprawdę się *rozpakowywała*.

Wcześniej tego nie dokończyła; pewnie, żeby zrobić mi na złość.

Czuję się rozdarty.

Rozdarty pomiędzy chęcią sprzeciwienia się temu, że jestem jakimś ograniczonym umysłowo kmiotkiem z górskiej miejscowości, który próbuje wypędzić elegantkę z wielkiego miasta — historia rodem z kiepskiej komedii — a chęcią przyciągnięcia jej bliżej. Chęcią scałowania z jej wrednych usteczek tego nieznośnego, zadziornego uśmiešku. Chęcią przekonania się, czy dziewczyna smakuje słodyczą i alkoholem, tak jak absynt w jej oczach.

Zamiast tego stoję nieruchomo, podczas gdy ona odwraca się i wchodzi do sklepu, zarzucając lekko włosami, z dłonią wsuniętą w czuprynę towarzyszącej jej dziewczynki.

Ja pierdolę.

Powinienem pogadać z Flynnem.

Tak czy siak muszę się jak najszybciej pozbyć tej nieznośnej, kłótlivej, doprowadzającej mnie do szału kobiety.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

MAŁE MIASTECZKO. GORĄCE SERCA. MROczne SEKRETY...

W Seattle nic jej już nie trzymało. Straciła narzeczonego, najlepszą przyjaciółkę, pracę i dodatkowe zajęcie, które było jej pasją. Pewnego dnia Haley West wsiadła do mustanga ze swoją siostrzenicą i najzwyczajniej w świecie ruszyła do Chicago. W trakcie podróży samochód odmówił posłuszeństwa. Na szczęście nie stanął w szarym polu, a w miasteczku Heart's Edge. Kiedy Haley czekała na naprawę auta, los zetknął ją z okropnym mężczyzną, i to w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach.

Warren Ford nie znalazł się w Heart's Edge przez przypadek. Przybył rozwikłać paskudną historię zaginięcia swojej siostry. Przysiągł sobie, że odkryje tę tajemnicę i wymierzy sprawiedliwość tym, którzy skrzywdzili Jennę. Właśnie wtedy los połączył go ze śliczną, bezczelną Haley. Zrobiła na nim duże wrażenie! Warren wiedział jednak, że musi ją skłonić, by jak najszybciej opuściła Heart's Edge. Jeśli jakimś trafem zostałaby wpłątana w jego krucjatę, mogłoby się to bardzo źle skończyć i dla niej, i dla jej siostrzenicy.

Był tylko jeden problem. Haley postanowiła zostać w Heart's Edge na dłużej...